Łódź, Środa 27 lipca 1932 r. Rok III. Nr. 30 (118).

M. B. im. L. W. w Łodzi

REPUBLIKA DZIECI

Tygodniowy dodatek „Republiki".
Ilustrowane pismo DLA DZIECI I MŁODZIEŻY pod redakcją Jerzego Bilisa



Cip, cip, cip...

NIEWIDOMY.

Była niedziela. Jeden z tych pięknych dni majowych, kiedy się człowiek czuje lżejszy, kiedy wszystkie serca śpiewają.

Godzina w pół do pierwszej. Małgosia zajęta wycieraniem całego stosu talerzy...

— Mamusiu! skończyłam! — mówi wesoło, wieszając mokry ręczniczek na sznurku przed kominkiem.

— Dobrze, dobrze, moja córeczko. Idź teraz przygotuj się do wyjścia.

Małgosia jest już w swoim pokoju, poprawia włosy, zdejmuje fartuch, który osłaniał jej świąteczną sukienkę i kładzie ładny biały kapelusz, świeżo upięty przez mamę.

— Dowidzenia, mamusiu, woła, wpadając do kuchni i obejmując mamę za szyję.

— Dowidzenia Małgosiu. Baw się dobrze, ale pamiętaj, że masz nową sukienkę na sobie. A wracaj na siódmą.

Dziewczynka przebiegła przez sad kwitnący, wyszła na drogę i, znalazłszy się między dwoma żywopłotami, zwolniła kroku.

Serce Małgosi raduje się na myśl o Zosi, która mieszka tam na brzegu jeziora. U Zosi napewno Małgosia nie będzie się nudzić.

Najpierw będzie się bawiła w krokieta, w gospodarkę, w szkółkę, a potem?... będzie coś, o czem nikt nie wie: — spacer łódką. Małgosia wyobraża już siebie, mknącą po gładkiem jeziorze i zanurzającą palec w ślicznej, błękitnej wodzie. Cały tydzień myślała o tej wycieczce.

Małgosia ma sporo zajęcia w domu. Ona to wyprowadza na spacer małego braciszka, dogląda kury, wyciera naczynia. Dziś wszystko poszło jej łatwiej, przyjemniej.

— Wiosna! — jakie to ładne! — mówi do siebie, zrywając polną różę. Zaniesie ją Zosi.

Słońce wydaje jej się jaśniejsze, niż zwykle, kwiaty świeższe, drzewa zieleńsze.

O dwa kroki od niej na gałązce, zięba śpiewa prędko, prędko, jakby się lękała nie skończyć piosenki; tu duże margarytki pochylają się zgrabnie, kłaniają.

Małgosia staje na chwilkę i słucha jak brzęczy truteń, latający przy płocie.

Dzyń! dzyń! uderza zegar w wiosce. Już druga! Spóźnię się, myśli dziewczynka i biegnie, przytrzymując jedną ręką kapelusz.

Wtem stanęła i patrzy na drogę. Co ona tam widzi?

Przy płocie siedzi człowiek stary, zgarbiony; twarz jego smutna, zdaje się, że płakał.

Małgosia zbliża się ku niemu, staruszek zwraca głowę w jej stronę, a ręką zdaje się macać ziemię, szukając swego kija.

— Czy pan źle widzi? — pyta dziewczynka, podając kij.

— Nie widzę, — odpowiada smutno staruszek.

I Małgosia spostrzega, że biedne jego oczy są zamknięte.

—Ślepy! Jakiż on nieszczęśliwy!

Niema mego przyjaciela, — wzdycha staruszek. — Nie wiem, jak mam iść...

Dziewczynka pochyla się ku niemu, pytając ze współczuciem.

— Przyjaciel porzucił pana?

— Tak, bo go przestraszono. Mój przyjaciel — to pies Karuś, bardzo do mnie przywiązany. Ile razy widział, że płaczę, pocieszał mnie, lizał. A rozumiał wszystko, co mówiłem. Teraz sam zostałem.

Małgosia ma oczy pełne łez.

— Czy dawno uciekł pies panu?

— Już z godzinę. Szliśmy tą drogą, gdy wypadł duży pies — duży zapewne, bo miał gruby głos. Poczułem, że Karuś drży; a gdy pies zbliżył się, Karuś szarpnął się i uciekł, pędzony wciąż przez dużego psa. Wołałem, wołałem, ale napróżno.

Małgosi żal staruszka; chciała by zostać, by go pocieszyć, ale słyszy, zegar bije w pół do trzeciej. A spacer łódką?...

Dowidzenia panu, — mówi, oddalając się śpiesznie.

Biegnie, ale zdaje się jej, że słońce już nie tak ładnie świeci i kwiaty nie uśmiechają się do niej...

Myśli o ślepym staruszku, a głos jakiś coraz to odzywa się w jej sercu: „Co on zrobi teraz sam jeden?"

Stanęła na zakręcie drogi, zamyśliła się. — Po chwili wraca.

Ale Małgosiu, domek twej przyjaciółki jest tam na zachód, ty idziesz w przeciwną stronę; zmyliłaś drogę.

Nie, Małgosia nie pomyliła się. Idzie zpowrotem, bo nie może tak zostawić niewidomego: on jest zbyt nieszczęśliwy.

— Proszę pana, — pyta, — w którą stronę uciekł pies pana?

— Ach, to ty, moja dobra dzieweczko. Słyszałem, że pies szczekał w tej stronie — i drżącą ręką wskazuje lasek dębowy na drugim końcu łąki. Małgosia biegnie co tchu, już jest na skraju lasu i woła ze wszystkich sił: — Karuś! Karuś!

Słucha: kozy tylko odpowiadają jej gwizdaniem.

Małgosia biegnie dalej i, trzymając przy ustach ręce nakształt trąbki, by głos dalej nie leciał, woła jeszcze: — Karuś! Karuś!

Zdaje jej się, że słyszy jakiś szelest w krzakach; śpieszy w tę stronę i spostrzega czarnego pieska.

To Karuś z pewnością. Koniec sznurka wisi mu u szyi; widocznie przybiegł zdaleka, bo sapie bardzo i wywiesza język.

— To ty, Karuś — pyta Małgosia, stając. Chodź prędko do swego pana.

Karuś też staje i przygląda się dziewczynie, rozumnemi oczyma. Trzęsie głową, porusza ogonem, ale waha się.

Czyż znów ucieknie? Nie. Piesek prędko zrozumiał, że Małgosia jest przyjaciółką, że do niej zbliżyć się można bez obawy.

Podchodzi powoli, wącha.

— Chodź, Karuś, chodź do swego pana, mówi Małgosia. Jak on się ucieszy!

Biegną. Już są przy staruszku. Karuś skacze na niego, liże mu twarz, ręce, wyrażając radość wesołem szczekaniem.

— Karuś! mój dobry Karuś, to ty naprawdę! — woła niewidomy gładząc go czule. Potem wstaje, kładzie rękę na głowie Małgosi:

— Dziękuję ci, — mówi, — za dobroć, za usługę, jakąś mi okazała. Jesteś dobra dziewczynka.

Ale Karuś przypomina, że jest głodny, i idzie do koszyka, gdzie zwykle leży chleb dla niego. Podnosi nakrywkę i zaczyna szczekać z niezadowoleniem.

— Nic niema, mój przyjacielu; nie jedliśmy obiadu. Chodźmy.

Karuś staje na tylnych łapkach, prawą przednią podnosi i na pożegnanie salutuje Małgosię, dumny ze swej umiejętności.

— Jakiś ty piękny i rozumny! — wykrzykuje Małgosia, gładząc pieska i skacząc z nim razem.

Potem, zapominając już zupełnie o zamierzonej wycieczce, zwraca się do niewidomego i mówi uprzejmie:

— Ponieważ pan nie jadł obiadu, proszę do nas; ja zaprowadzę.

Wieczór. Rodzina Małgosi zebrana dokoła stołu, na którym dymi gorąca zupa.

Na kominku suche gałązki palą się wesołym ogniem.

Karuś gryzie kość w kącie.

Niewidomy siedzi na fotelu, który niegdyś służył dziadzi, i opowiada swe troski, — smutne życie ślepego. Małgosia słucha i nie żałuje, że dopomogła niewidomemu, nawet kosztem wycieczki. Pojedzie innym razem. Dziś uprzejmie z uśmiechem usługuje wszystkim.

Wierni przyjaciele u lwiej jamy.

(Dokończenie).

Wśród takiej pogadanki nocni podróżni dosięgli szczęśliwie końca murawy. Wyszli z trawy na otwarty gościniec. Tu zaś trafili na rozkoszne życie. Po drugiej stronie drogi stał dom gościnny „pod kwitnącą lipą“. Czy tam był kiermasz, albo wesele, nie wiem; że tam jednak było ochoczo mogła to już zdradzić słodka woń przysmaków, które gospodarz z pod lipy kazał swym gościom podawać. Wprawdzie grabarz, który sobie z woni kwietnianej nie wiele robił, nos sobie zatkał; ale biedronka i mrówka, które szczególniej były zwolenniczkami słodyczy, wdychały z chciwością słodkie te zapachy. „Wiedzą, co dobrze smakuje“, rzekła mrówka. Gdy bliżej podbiegli, zabrzmiała im bardzo wesoła kapela. Świerszcz polny grał na skrzypcach jak najęty a trzmiel brzęczał potężnym basem. Dostojne zgromadzenie komarów i mucharów wielkich i dużych, tańczyło na wysokich nogach, a drobne muszki ochoczo wiodły rej w powietrzu.

„Ten lekkomyślny gmin“, rzekła półgłosem mrówka, wykrzykuje i tańczy , jakby lato końca już nie miało. Byłoby roztropniej, żeby pracowali i oszczędzili sobie cośkolwiek a przytem, żeby zbudowali sobie ciepły dom pod ziemią, jak my na długą zimę w czasie której na dworze tylko głód i mróz panują“.

Biedronka, podsłuchawszy to, uśmiała się serdecznie. Wiedziała ona dobrze, że muchory i komary żyją tylko przez krótkie lato, i wydało się jej to bardzo śmiesznem, żeby te swobodne, wesołe, tańczące junaki pod ziemią zakopywać się i pracować miały jak mrówki.

„Boję się, czy i biedronka nie jest także trzeszczypłotem jak tamci“, pomyślała mrówka, gdy ją śmiejącą się ujrzała, „boć ona woli po powietrzu lekkomyślnie latać, niż na ziemi pracować i troszczyć się o utrzymanie“. Ale i ona umilkła, bo wszyscy lubili spokój i nie szukali zwady.

Chcieli już w dalszą puścić się drogę, ale nie tak łatwo się stąd wywinęli. Ochocze towarzystwo z gościnnego domu spostrzegło światełko świętojańskiego robaczka, a więc i tancerze i muzykanci nadlecieli z brzękiem i zatrzymali wędrowców.

„Panie świetliku“, zabrzęczała trzmielica, „przychodzisz nam w samą porę; potrzebujemy światła do naszej uroczystości. Pójdź i przepędź z nami wesoło wieczór, tamci chłopy mogą sobie po ciemku wracać do domu“.

Mrówce żart ten wcale nie przypadł do smaku. „Czy myślicie“, zawołała, „że inni ludzie tak mało mają do roboty, jak wy, żeby czas swój na taniec i granie marnować?“

Świetlik zaś rzekł bardzo grzecznie: „Czynisz mi, pani trzmielico, wielki zaszczyt, ale ja przyrzekłem tym poczciwcom odprowadzić ich z latarką do domu i nie mogę złamać danego słowa. Innym razem będę miał prawdziwą przyjemność przyświecać wam do tańca“. Trzmielica nic nie odpowiedziała i powróciła napowrót ze swemi komarami i wszelkiemi skrzydlatemi istotami, żeby balować pociemku i długo jeszcze idący dalej wędrowcy słyszeli ochoczą muzykę z gościnnego domu pod kwitnącą lipą.

Nareszcie zbliżali się ku borowi, ale że droga wiodła po gruncie piaszczystym, więc też podróżowali noga za nogą.

Nagle zatrzymał się świetlik, który wciąż na przodzie przyświecał: „Ani kroku naprzód, albo śmierć znajdziecie!“—zawołał drżącym ze strachu głosem. Mrówka i oba chrząszczyki jakby skamienieli, stanęli na miejscu.

Przyszli mianowicie na brzeg jaskini mrówko-lwa. Żarłoczny ten potwór, jakkolwiek mały i leniwy, okazuje się nie tylko dla mrówek, ale i większych stworzeń nader niebezpiecznym. Wykopuje sobie w piaszczystym gruncie dół w kształcie lejka i tam się zapuszcza. Jeśli nadejdzie jakie żyjątko, nieprzeczuwające niebezpieczeństwa, i usadowi się na brzegu lejka, to piasek się usuwa, a ono po gładkiej ścianie upada na dół wprost do paszczy, czyhającego na spodzie małego żarłoka. Drobne, skrzętnie uwijające się mrówki, stają się szczególniej gromadną zdobyczą chytrego rozbójnika. Ale nawet i żyjątko większe od niego samego choćby i skrzydlate wpadają w moc jego.Ześlizgują się lub spadają nawznak, trzepocąc na dół po gładkiej ścianie; drobne ziarnka piasku staczają się na nie, pokrywają im skrzydła, i zanim się wyswobodzić zdołają, chwyta je mrówkolew i krew im wysysa.

Można więc sobie łatwo wyobrazić przestrach naszych przyjaciół, gdy się dowiedzieli, w jakie niebezpieczeństwo popadli. Szczególniej mrówka drżała. A na spodzie siedział w lejku czatujący zbój i cieszył się już tłustą zdobyczą, usłyszał bowiem zbliżające się kroki wędrowców. Ale jak spostrzegł powstrzymane nad brzegiem jego dołu światełko i odwrót podróżnych, rozgniewał się nadzwyczaj. — „Przeklęty świetlik“ zamruczał tak głośno, że stojący na górze wyraźnie go słyszeli, — „nie mógł to swojego światła w domu zostawić? Teraz muszę się położyć głodny, a spodziewałem się już wybornej wieczerzy. Ale jeżeli mi kiedy wpadnie ten robak bez swej latarki do dołu, to go pożrę z mięsem i kośćmi“.

Na tę gniewną przemowę wzdrygnęli się ze zgrozy i zaledwie śmieli oddychać. Dopiero, gdy lwią jamę daleko za sobą zostawili, zdobyć się mogli na słowa.

„Coby się to z nami stało“, zawołała mrówka, drżąca jeszcze ze strachu.

„Łatwo odgadnąć“, zauważyła biedronka, „pani mrówka byłaby w każdym razie, a my być może, pożarci. Swietlikowi zawdzięczamy życie; bez jego latarni wszyscybyśmy dostali się do lwiej jamy“.

„Jutro przyniosę ci najładniejsze jajko z naszego dworu“ — rzekła mrówka — i przekonasz się, iż jestem ci wdzięczna“. Napróżno świetlik zapewniał, że niechętnie jada jajka, mrówka nie pozwoliła mu się od tego wymówić. Biedronka przyrzekła przynieść mu dzbaneczek świeżej rosy różowej, co też poczciwy świetlik, żeby nie zrazić swych przyjaciół, nareszcie postanowił przyjąć. Ale gdy mu grabarz chciał przynieść w podarunku smakowity ogonek zdechłej myszy, natenczas wymówił się od tego tak stanowczo, że tamten już więcej nie nastawał.

Szczęśliwie i bez dalszych przygód dostali się przyjaciele do swego mieszkania. Gdy świetlik powrócił do domu już poranek czerwcowy począł dnieć na wschodzie. Natenczas zgasił swą latarkę, ubrał się w szary surducik i rzekł do swej żony, co z małą świeczką, siedząc na trawie, na niego czekała: „Żonko, jeżelibym kiedy zapomniał wziąć z sobą latarkę, to przypomnij mi o niej, dziś bowiem doświadczyłem, jak się ona przydać może“.

A potem opowiedział jej zadziwiającą przygodę przy lwiej jamie.

KRET.

I.

Ujrzawszy grządkę kwiatów, zasypaną świeżo przez kreta, każdy prawie wpada w gniew i niezwłocznie urządza polowanie po całym ogrodzie na rzekomego szkodnika; spotkawszy którego z nich na powierzchni trawnika, odległego od klombów lub nawet pomiędzy drzewami, zabija zwierzątko bezapelacyjnie, przyrzekając sobie czynić tak przy każdej nadarzonej sposobności. Uważamy sobie za obowiązek tępić kreta wszędzie: w sadzie, równie jak i na polu i na łące, nie zastanawiając się wcale, czy zwierzątko tak zawzięcie prześladowane, nie przynosi jakiegoś pożytku, którym wynagradza wyrządzone i łatwe do naprawy psoty. Człowiek idzie tutaj za utartem zdaniem które orzeka, iż kret należy do rzędu zdecydowanych wrogów ogrodnika i rolnika, że należy go przeto wszędzie niszczyć.

Otóż należałoby stanąć w obronie kreta i przekonać wszystkich, iż jest on sprzymierzeńcem, któremu trzeba wybaczyć czynione na trawnikach i grządkach spustoszenia, wzamian za liczne, a ważne usługi, jakie oddaje.

Należy przyznać, że kret należy ze względu na swe obyczaje i sposób życia do rzędu stworzeń bardzo ciekawych, a stosunkowo do ilości, w jakiej się znajduje w kraju, mało jest znany.

Przyczynia się do tego głównie ta okoliczność iż kret obrał sobie za stały pobyt wnętrze ziemi, niedostępne dla wzroku. Grunt rodzajny stanowi właściwy żywioł kreta. Spojrzawszy na zwierzątko uważniej i zastanowiwszy się cokolwiek nad jego budową, zostajemy wprawieni w podziw. Gdybyśmy nawet nie wiedzieli nic o nim, a tylko mieli go przed oczyma, odrazu odgadlibyśmy, iż musi zamieszkiwać wnętrze ziemi. Na domysł ten wprowadziłyby nas przedewszystkiem krótkie, szerokie, nagie, silne przednie łapki, przypominające łopatki; są one doskonałem narzędzie do kopania, a mały ich właściciel potrafi ich używać z godną podziwu zręcznością.

Do torowania drogi w podziemnych podwórzach służy mu także skutecznie twardy ryjek będący przedłużeniem kości nosowej; narzędzie to bardzo ciekawej budowy, składa się z dwuch regularnych cylindrów, wysmukłych i gibkich, zakończonych kostką. Jest to niby taran, którym kret posiłkuje się także, jako członkiem chwytnym—nadzwyczaj delikatnym. Przy jego pomocy zręcznie obrywa tkanki i korzonki, tamujące mu przejście w galerjach podziemnych, lub potrzebne do wyścielania gniazda, i dzięki potężnym muskułom z tyłu głowy i na szyi, usuwa, popycha otwiera i wierci ziemię niby śrubą. Jak widać, organ ten, prostej stosunkowo budowy, stanowi cenne a niezbędne dla kreta narzędzie pracy. Tylne łapy u kreta różnią się dość wybitnie od przednich: są znacznie dłuższe, cieńsze, zaopatrzone także pazurami, rozwiniętemi wszakże daleko słabiej i widocznie niezbyt zdatne do kopania. W ostatniej tej czynności bierze udział całe ciało, nie wyłączając korpusu i głowy; głównie jednak pracują przednie nogi i ryjek.

Kret, ryjąc galerję, leży na brzuchu trzyma łapki z boków i porycha ziemię w tył; ciało jego walcowate, pokryte gładką, śliską sierścią, z łatwością przesuwa się w ziemi, ani jedno wszakże ziarnko piasku nie może przedostać się do pyszczka zwierzęcia, zabezpiecza go bowiem od tego fałda skóry, tworząca wewnętrzną wargę, która dokładnie pokrywa zęby; tych ostatnich zwykle kret posiada 44.

Nie dość jednak na tem; natura zabezpieczyła doskonale od uszkodzeń jego organy zmysłów. Do niedawna jeszcze wątpiono, czy kret widzi; po dokładnem, bliższem zbadaniu zwierzątka, można odnaleźć maleńkie czarne oczki; pokrywa je wszakże gęsta sierść porastająca drobne powieki. Trzeba przedsiębrać liczne doświadczenia, by się przekonać, iż służą one kretowi do użytku.

Ucha wewnętrznego, czyli t. zw. konchy usznej, kret niema wcale; do ucha wewnętrznego prowadzi długi, pokręcony falisto kanalik, który w ten sposób doskonale chroni je od zasypania piaskiem.

Przekonano się, że kret słyszy nie gorzej od innych zwierząt, żyjących na powierzchni ziemi. Słuch jest jego stróżem, oznajmiającym o zbliżaniu się wroga lub zdobyczy. Są pewne dane, które pozwalają twierdzić iż kret jest smakoszem — dowodzi to, iż smak posiada delikatnie wykształcony.

Tyle o budowie ciała u kreta. A teraz puścimy się w ślad za nim, krętemi galerjami do wnętrza ziemi, i przypatrzmy się, jak w niej żyje. Ktoś mógłby zrazu przypuścić, że istnienie kreta w ciasnych norach, których wydrążenie kosztuje wiele pracy, godne jest pożałowania. Zbadawszy wszakże bliżej miejsce stałego pobytu tego zwierzątka, łatwo przekonać się, że prowadzi ono tam żywot bardzo znośny.

(Dalszy ciąg nast.).



... jeśli chcesz brać udział w losowaniu cennych premij...
... jeśli chcesz odnieść wiele korzyści...
... jeśli chcesz ujrzeć swą pracę, wydrukowaną w „Republice Dzieci"...

to pisz DZIENNICZEK WAKACYJNY!

Szczegóły Drugiego Konkursu Literackiego „Republiki Dzieci" w poprzednich numerach naszego pisemka.

Jaś i Staś

czyli

historja o dwuch łobuzach w pięciu figlach.

FIGIEL PIĄTY.



Chłopcy płaczą, on nie pyta,
Dęba staje im czupryna,
Bo zbliżają się do młyna.
— „Mój młynarzu, bardzo proszę,
Śliczne ziarno wam przynoszę,
Czasu wprawdzie mam niewiele,
Ale dajcie — to je zmielę!"
Z żytem chłopców wraz wsypali
I do kosza się dostali.
Gdy się do nich żarna wzięły,
Wnet ich na otręby zmełły.
Tak się z ziarnem pomieszali,
Że już byście nie poznali

Chłopcy! co wy wyprawiacie?
Dziury w workach przecinacie!
Przyszedł Wojtek w dobrej wierze,
Worek na swe plecy bierze —
Uczedł trochę — nagle czuje,
Że się ziarno wysypuje.
— „Worek lżejszy mi się zdaje!"
— Mówi — trochę więc przystaje.
Wtem spostrzega.. o, wściekłości!
Swawolników, których w złości
Buch! do worka zamiast żyta.





W mące, którą młynarz waży,
Znanych naszych dwuch figlarzy.
Cała ilość się dostała
W worki — reszta rozsypała
Się potrosze na podłodze. —
A że młynarz skąpy srodze,
Zmiotła w kosz to młynarzowa.
Która stado ptactwa chowa
I ku wielkiej kur uciesze
Karmi niemi swoją rzeszę.

KONIEC.

Dalsza przygoda José'go

(Dokończenie autorskie Jasia Murkesa)

(Czwarty dalszy ciąg).

Przelatywali raz nad gęstą dżunglą tropikalną, czyli nad t. zw. „buszem", raz nad sawanną, czyli stepem. Sawanny pokrywały wysokie trawy i grupy akacyj oraz prastarych olbrzymów: baobabów. Czasem była widoczna wioska murzyńska, której mieszkańcy nie odznaczali się zbytnią uprzejmością, szczególnie w stosunku do „wielkiego ptaka". — Wkrótce zaczęły się często ukazywać rzeki. Najprzód jedna z największych rzek dorzecza Konga, Kasai z wodospadem. Już tu czuło się pewne ślady cywilizacji. I-szym śladem była linja kolejowa przerzynająca przestrzenie Konga od Elisabethville. Podróżnicy z żalem żegnali te dzikie, nienaruszone przez człowieka obszary, rządzone przez zwierzęta. Wreszcie o godz. 18.30 przelatywano nad miastem Kiwit, położonem między dwiema rzekami i zdążali na północ, do jeziora Stanley Pool i jeszcze wyżej, gdzie Henryk Stanley stoczył ostatnią t. zw. 32-gą bitwę morderczą z krajowcami. Tam Lualaba zwężała się między skalistemi brzegami, później naodwrót, rozszerzała się i spadała w wielkie wspaniałe wodospady Livingtona. Tam skierowała się „Victorja". Przejechała najprzód nad dwoma miastami, przeciwległe położonemi na dwuch brzegach Konga: Brazza i Leopoldville. W odległości około 10 klm. zaczynały się wodospady. Woda zaczęła falować pędzić, rozbijać się i spadać wielkiemi tarasami. Przy zachodzie słońca, widok ten był wprost czarowny: złoto - purpurowe odblaski lśniły się na tryskającej wodzie, która szumiała, pieniła się i grzmiała złowrogo.

Jose nie zapomniał o aparacie fotograficznym, który robił fotografje barwne. Mieli więc podróżnicy pamiątki z tej podróży. Żywioł wodny po spadnięciu z trzech tarasów-wodospadów płynął cały czas niespokojnie, aż do ostatniego w pobliżu miasta Matadi. Tu zaczęła się już uciszać.

„Kończymy naszą podróż" — rzekł z pewnym smutkiem Jerzy. Jose też się zasmucił i dorzucił z rezygnacją, którą przebijało zmartwienie:

„Już — koniec!" Dojechano do ujścia Konga które wpadało do zatoczki z wysepką pośrodku. Stąd skierowano się na północ i po kilkunastu minutach „Victorja" została owacyjnie przyjęta w Kabindzie. Zatelegrafowano na „Susquehannę", która była w pobliżu Capetownin (Kapsztadu)

— — — — — — —

— „Wszak mamy jeszcze 2 dni czasu do przyjazdu „Susquehanny", nieprawda?" — rzekł nazajutrz po wschodzie słońca Jose do Jerzego.

— ‚Owszem, więc cóż chcesz?" — zapytał Jerzy.

— „Mam wielką prośbę i sądzę, że będziesz chciał tak samo jak i ja, ruszyć na 1 dzień naszą „Victorją" na Wybrzeże Kości Słoniowej i po drodze zrobić polowanie na jakiegś słonia. To było oddawna mem marzeniem".

Jerzy długo myślał. Wreszcie odparł: „Skoro tak bardzo pragniesz, spróbujemy". Jose nie wiedział co począć z radości. Za pół godziny, a była może 6.30 4 osoby wznosiły się w samolocie nad Kongiem. Chcieli jeszcze zapolować na słonia. Szczęście sprzyjało im. W pobliżu dopływu Sanga Jerzy i Jose, obserwując przez lornetki ziemię, krzyknęli jednocześnie: „Co za okaz!" Wykrzyknik ten odnosił się naturalnie do słonia. Rozkazali lotnikowi lądować na polanie, która na szczęście ukzała się pośród drzew. Lądowanie udało się. Lotnicy pozostali w samolocie. Po kwadransie zobaczyli go. Przecięli mu drogę, usadowiwszy się wygodnie na drzewach wpobliżu „Victorji". Słoń nie przeczuł niebezpieczeństwa. Szedł spokojnie naprzód, gdyż wiatr wiał w stronę podróżnych, którzy tymczasem podziwiali jego wymiary ciała. Gdy zbliżył się nieco Jerzy rzekł: „Uważaj, strzelam!". Celował w dołek, gdzie się trąba zaczyna, ale kula oderwała mu kawałek ucha. Rozwścieczony tem, słoń puścił się biegiem w stronę „Victorji", sądząc że stamtąd padł strzał. Lotnicy nie mogli w tej chwili uciec, gdyż słoń widząc ich, rozszarpałby ich bez litości. Samolot mógł ulec nawet rozbiciu przez słonia. Wtem padł strzał Jose'go, który strzelił celnie w ścięgno Achillesa. Słoń zaryczał i upadł na ziemię, a Jerzy trafiajac go w oko, położył kres jego życiu.

Gratulowano Jose'mu celnego i zbawiennego strzału, później odcięto słoniowi kły i zapisano rozmiar. Potem ruszono w stronę Gabunu. Przelatywali przez Afrykę Równikową, Rio Muni, zat. Biafara, deltę Nigru, wreszcie przez Wybrzeże Niewolnicze. Widzieli czasem ludożerców którzy mieli zęby na trójkąty spiłowane. Czasem orkiestra murzyńska grała na przedziwnych gitarach „Dianne". Metody „Tabresoro", trąbach z rogów antylopy „Bodot", z kości słoniowej „Buron" i na bębnach ‚Tabala". W takt tej kociej muzyki tańczył błazen t. zw. „mokho missiku" ubrany w bluzę „doroke", rabiąc najdziwaczniejsze figury. Poza wioską na falistych przestrzeniach biegły antylopy, b. rzadko okaz słonia, w rzekach płynęły hipopotamy i aligatory. Obok wiosek otoczonych wałami „tata" były pola uprawne ryżu, prosa bawełny, figowców i bananów. — Czas szybko przeleciał. „Victorja", lecąc na przełaj nad zatoką Gwinejską, po szybkim locie o godz. 21 dotarła do Kabindy. Samolot został z dwoma lotnikami, którzy tam spali, a Jerzy i Jose powrócili do mieszkania i zasnęli szybko twardym snem. Po południu zakomunikowano Nilsonowi, że „Sucquehanna" za 2 godziny dobije do portu. ‚Victorja" pofrunęła na spotkanie. Po pół godzinie stała już na okręcie (była tam, naturalnie platforma do lądowania). Nie będę już opisywał ani powitań, ani podróży dalszej na Antarktygę, gdyż o tem pisaćbym musiał bardzo dużo. Dość, że na ten nieznany ląd, wyruszono według omawianego już planu, dnia 15 marca 19.. roku.

— — — — — — —

Dwa lata upłynęły od odjazdu z Ameryki. „Susquehanna" dobiła do Filadelfji, po szczęśliwej, rozgłoszonej przez prasę światową podróży i ważnych odkryciach. Jerzy dowiedział się, że znaleziono jego siostrę i stryja, którzy mieszkali u jego brata. Było to miłą dlań niespodzianką.

#

Jose, ten niewykształcony dawniej młodzieniec, mieszkający w odludziu, w Guatemali, był teraz wyposażony bogato w wiedzę i nie tylko teoretycznie, lecz i praktycznie (mam na myśli podróże). On to ocalił niemal życie 2 ludzi i samolot, (w spotkaniu ze słoniem). Kto wie, czy Jose nie będzie inicjatorem wielu wypraw naukowych i czy nie prześcignie swego opiekuna w sławie. Dodać jeszcze muszę, że Jerzy Nilson ożenił się z matką Jose'go i odtąd żyli szczęśliwie wspominając opisaną częściowo wyprawę.

KONIEC.

NASZE LISTY.

Marysia Kieszkowska, Fela i Ryta Poznanlekówne. Przyjmuję Was chętnie do grona korespondentek. — Wierszyki miłe, chociaż niezupełnie poprawnie napisane. Najlepsza już jest druga zwrotka wiersza p. t. „Szkoła":

„Szkółko, moja, szkółko miła,
Już opuścić Ciebie czas!
Bądź szczęśliwy! Bądź szczęśliwa!
Bo wakacje masz.

E. Grajewski. „Republika Dzieci" w czasie roku szkolnego zawiera zawsze dość dużo artykułów dla młodzieży, lżejszy materjał podajemy w lipcu i sierpniu. Sama zmiana nazwy garstki nie wpłynie na nic. Samodzielne artykuły literackie możesz przysyłać. Co do nadesłanych już artykułów mam pewne wątpliwości.

R. Zonabendówna. Wiersz słaby.

H. Pawłowski. Wśród czytelników jest wielu zapalonych sportowców. Porozumiewałem się z nimi, by nadsyłali do gazetki wiadomości sportowe. Obiecywali — i nic. Wobec tego zrezygnowałem z kącika sportowego w „Republice Dzieci". Ten dział powinni prowadzić młodsi sportowcy. — Postaraj się zorganizować kółko „reporterów sportowych", a powstanie dział sportowy.

W. Wolhendler. Ankieta „Jak będzie wyglądał świat, gdy będziemy dorośli?" jest bez nagród. Za nagrodę jednak uważać można wydrukowanie w gazetce odpowiedzi na ankietę. — „Obrazek wiejski" nie pójdzie.

„Jedna z wielu". Jeśli „jedna z wielu" z takiem zaufaniem zwraca się do mnie w kwestji najżywotniejszej może, bo celowości wysiłków, wartości życia itp., czemu czyni to anonimowo. Nie mogę nie odpowiedzieć, nie mając bliższych danych.— Połowiczne zaufanie nie jest zaufaniem.

„Duża Czytelniczka — Niusia".— Serdeczne dzięki za miłe życzenia. Zkolei ja teraz dużej Niusi życzę najmilszego pobytu w Druskiennikach i... ochoty do pisania listów długich i pogodnych.

#

Poniżej podajemy list jednego z naszych korespondentów, który zainteresuje niejednego młodego sportowca.

#

Bawiąc przypadkowo w Łodzi, postanowiłem napisać do Sz. Pana Redaktora list. Mieszkam stale w Neapolu i jestem czynnym członkiem „Makabi". Będąc mistrzem bokserskim Neapolu zostałem zaproszony do Pragi Czeskiej na mecz z bokserem Sobotką. W przejeździe zatrzymałem się w Łodzi. Przypadkowo dostał się do moich rąk numer „Republiki Dzieci". Gazetka bardzo mi się spodobała, a więc postanowiłem napisać czytelnikom o mojej karjerze bokserskiej. Proszę b. Sz. Pana Redaktora o wydrukowanie listu w całości.

Urodziłem się w Warszawie, ale w rodzinnem tem mieście byłem bardzo krótko, gdyż rodzice przeprowadzili się na stałe do Neapolu. Gdy skończyłem sześć lat, zacząłem uczęszczać do państwowego gimnazjum w Neapolu. Uczyłem się nieźle, ale najbardziej interesowałem się gimnastyką i najlepszą ocenę miałem tylko z tego przedmiotu. Gdy skończyłem 12 lat, zacząłem się bardzo interesować boksem i postanowiłem wstąpić do sekcji bokserskiej „Makabi". Udałem się do klubu, przyjął mnie pewien młodzieniec. Powiedziałem mu o swych zamiarach, nie chciał mnie przyjąć do sekcji ze względu na mój młody wiek. Zdołałem go przebłagać i zostałem do sekcji przyjęty. Zbadał mnie lekarz klubowy, który orzekł, że jestem zupełnie zdrów i mam dobry wzrost (155 cm.) i wagę (40 kg. bez ubrania). Po zbadaniu rozpocząłem się pierwszy trening. Mój pierwszy trener Brodersohn, zabandażował mi ręce gazą, następnie nałożył rękawice bokserskie i poprowadził mnie pierwszemi drogami pięściarstwa.

Pierwszy miesiąc przeszedł zupełnie dobrze, robiłem coraz lepsze postępy, ale po miesiącu wyzwał mnie do walki jeden z wyćwiczonych bokserów mojej wagi (papierowej). Chociaż brakło mi odwagi nie śmiałem stchórzyć i zgodziłem się na walkę. Spotkanie wyznaczone zostało na dzień następny. Sędziowania podjął się czynny już wówczas bokser, kolega Berger, zaś rolę punktowych objęli dwaj koledzy. Następnego dnia po uprzednim treningu, stanąłem do matchu. Gong oznajmił początek spotkania i ruszyłem do starcia. Przeciwnik mój okazał się świetnym bokserem, ale mimo trzyminutowego wysiłku (jedna runda) nie zdołał nic zrobić. W drugiej rundzie miałem całkowitą przewagę i z taką pasją atakowałem przeciwnika, że ten w groźnych momentach musiał uciekać za liny. W trzeciej rundzie przewaga była zmienna, wobec czego uzyskałem słuszne zwycięstwo punktowe.

Tak się zaczęła moja karjera bokserska i obecnie, licząc lat 17, jestem jednym z najlepszych bokserów neapolitańskich w swojej wadze.

Natan Michaelson.

⁂

Nadto listy nadesłali: Halinka A...ówna, S. Altmanówna Dorka M., „Mykey Monse", S. Sztajnówna, Hala Zacharjaszówna, S. Linkowski, Wandzia G., A. Kinrus z Truskawca, Masza i Maryla Rewizorskie, Regink Ordynansówna, Irka Lipszycówna, Edzia Ajzykowiczówna, S. Litmanowiczówna, „Stefcio Roguski", Lewek R., Henia Popławska i inni.

#

Następne *„Nasze Listy"* ukażą się dopiero za 6 tygodni, t. j. w Nr. 36 (124) „Republiki Dzieci". Nie chciałbym bowiem, by korespondencję, którą mi przysyłacie, przeglądał kto inny. A przyznacie, że po roku pracy i mnie wolno wyrwać się z miasta na letni wypoczynek.

Piszcie jednak dużo, bardzo dużo. Niech się tyle listów zbierze, by można było urządzić *drugie święto „Naszych Listów".*

Wasz Przyjaciel.

Wiadomości ciekawe i pożyteczne.

FUTRO PORWANE PRZEZ ORŁA.

Niezwykłe zdarzenie spotkało niedawno pewną Angielkę podczas używania sportu narciarskiego w Breuil w pobliżu Nizzy.

Zgrzana narciarka, chcąc sobie ulżyć, zdjęła swe futro, złożyła je na śniegu i dalej używała jazdy na nartach, gdy nagle, krążący wysoko w powietrzu orzeł spuścił się błyskawicznie na śnieg, porwał dziobem futro i uniósł się z niem w powietrze.

Spostrzegłszy to właścicielka futra i inni narciarze, zaczęli głośno krzyczeć i może pod wpływem tych krzyków, a może spostrzegłszy, że futro nie nadaje się do jedzenia, orzeł puścił swą zdobycz i zniknął w obłokach.

Odwrócić!



Do autorów Rozrywek. Nadsyłane prace należy pisac po jednej stronie kartki, u dołu podawać rozwiązania, nadto na każdej kartce umieszczać imię, nazwisko i adres

Redakcja nie udziela odpowiedzi na pytania tyczące się oceny rozrywek, lub terminu ich umieszczania.

Do rozwiązujących: Rozwiązanie „Rozrywek Umysłowych" należy pisać na osobnej kartce. Każda kartka musi mieć u góry imię, nazwisko i adres rozwiązującego.

LOGOGRYF.

Z następujących sylab ułożyć 19 wyrazów o podanem znaczeniu których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1. Ustawa.
2. Mieszkanie pszczoły.
3. Niewola u Tatarów.
4. Płaz.
5. Wyciąg z igliwa sosnowego.
6. Miasto historyczne.
7. Symbol dobroci.
8. Imię męskie.
9. Lekarz oczu.
10. Zboże.
11. Zaimek wskazujący.
12. Niszczyciel drzew.
13. Spójnik.
14. Średni zakład naukowy.
15. Mówca rzymski.
16. Skorupiak.
17. Samogłoska.
18. Artykuł codziennej potrzeby.
19. Człowiek reperujący elektryczność.

Sylaby.

kon ul tu ża cja ssyr ja ba eks lu niol blin trak t a sław o ku sty zdzi li psze ni ów sta ni kor i gim zjum ca ki na o rak chleb wi ą djusz e ktro le chnik te.

KRYPTOGRAM.

(Ul. W. Wolhendler).

Z każdego wyrazu wziąć po dwie, obok siebie stojące, litery, by otrzymać rozwiązanie.

Matołki, pomarańcza, szarańcza, walka, Valentino, bednarz, Bismark, obrana.

Rozwiązania nadsyłać można do czwartku, dnia 4 sierpnia b. r.

Za prawidłowe rozwiązanie powyższych rozrywek Redakcja przeznacza trzy nagrody.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie Rozrywek Umysłowych „Republiki Dzieci" drogą losowania otrzymali:

1. *Lili Joffówna* — Pomorska 7 — książkę.
2. *W. Wolhendler* — Kilińskiego 41 — grę towarzyską.
3. *L. Tsakumakis* — Żółkiewskiego 2 — ćwierć kg. czekolady.

Nagrody odebrać można w Redakcji „Republiki Dzieci" — Piotrkowska 49, w czwartek, dnia 28-go lipca b. r. między godz. 5—6 po poł.

ROZWIĄZANIE ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

z Nr. 28 (116) „Republiki Dzieci".

Przesuwanka. Pisicie dziennicżek wakacyjny.

Logogryf. W jedności siła.

HISTORJA ZABAWEK.

Każdemu z was, mili Czytelnicy, — bez względu na to czy liczycie dopiero kilkanaście wiosen, czy kilkadziesiąt jesieni, — czy należycie do płci pięknej, czy do brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego, — zdarzyło się nieraz przystanąć przed sklepem zabawek i przyglądać się z upodobaniem różowym buziom, szklanym oczętom, jasnym loczkom lalek wszelkiego rodzaju.

Zachwycając się artystycznemi wyrobami tego przemysłu, nie przypuszczacie pewno, że lalka jest jednem z najdawniejszych cacek, tak niemal jak świat starem.

Jak wyglądała pierwsza lalka, którą matka włożyła do kolebki pierwszemu dziecięciu o tem milczą kroniki i podania. Przypuszczamy jednak, że musiał to być jakiś niezgrabny potworek, niewprawną ręką ulepiony z gliny, albo klocek drewniany zaledwie ociosany, nieudolne naśladownictwo pierwowzoru, jakim zawsze musiał być człowiek.

Z biegiem czasu rozwija się poczucie piękna, wzrasta umiejętność, i lalka przybiera kształty estetyczniejsze. Nie jest to zresztą jedyna zabawka, przeznaczona ku uciesze młodego pokolenia: fabrykanci cacek w starożytności umieją też wyrabiać zwierzęta, ptaki i różne inne przedmioty, a posługują się przytem nietylko drzewem i gliną ale także kością słoniową i kruszcami. Plinjusz np. wspomina o Kalistratesie, który toczył z kości słoniowej maleńkie zwierzęta doskonałego kształtu; Myrmecides umiał wyrabiać kwadrygi i okręty, które pszczoła mogła zasłonić skrzydłami. Czytamy w Ateneuszu, że król Lysimak, żyjący na lat 300 przed Nar. Chr., chcąc zażartować z tchórzliwego dworaka, Bitysa, rzucił mu na suknie drewnianego skorpiona tak łudząco wykonanego, że Bitys omało nie zemdlał ze strachu.

Grecy i Rzymianie umieli wyrabiać i malować zabawki.

Im dziecko było bogatsze, tem więcej otrzymywało podarunków, zupełnie jak teraz.

Pomimo dwudziestu wieków jakie ubiegły od tych czasów, nic się pod tym względem nie zmieniło.

Badając starożytne wykopaliska z Centorbi, Corneto, Volterra przekonujemy się, że w starożytności znano klejnoty dla lalek, bronzowe dzwoneczki, litery z kości słoniowej do układania wyrazów, grzechotki najrozmaitszego kształtu, figurki ołowiane i szkatułki na cacka. Ulubioną zabawką dzieci greckich i rzymskich był koń trojański, w którego wnętrzu mieścili się żołnierze. Co się tyczy pajaców i arlekinów, wszyscy ulicznicy za czasów Peryklesa bawili się nimi.

— „Te drewniane figurki — pisze Apuleusz — kiwają głową, przewracają oczami i podnoszą ręce do góry".

Muzeum księcia Giscari w Cotanie posiada ładny zbiór rzymskich lalek z gliny palonej i z kości słoniowej. W muzeum Campana jest drewniana lalka, do której doprawione są ruchome ręce i nogi. Najstarożytniejsze jednak okazy znaleziono w grobowcach Atyli: są to korpusy z otworami, do których musiano przyczepiać głowę, ręce i nogi. Buonarotto opowiada o kościanych lalkach pochodzących z cmentarza Św. Kaliksta w Rzymie: składała się ona z ruchomych części, przytwierdzonych do korpusu zapomocą drutu.

Kupon Nr. 21
„REPUBLIKI DZIECI"
Serja II. Rok 1932.
Wyciąć i scnować.

Wydawca: Wydawnictwo „Republika", sp. z ogr. odp. Wacław Smólski. W druk. „Republiki", sp. z ogr. odp. Piotrkowska 49.